

William Butler Yeats



Żeglując do Bizancjum



I

To nie jest kraj dla starych ludzi, młodzi
W ramionach młodych, ptaki w swoich pieśniach
-Ginące pokolenia -w róż ogrodzie,
Makreli morze, łososiowa rzeka;
Ptak, ssak i ryba latem zalecają
Poczęcie, które rodzi się do śmierci,
Tak uwikłane w swój zmysłowy taniec,
Pomniki myśli wiecznej mają za nic.

II

Człowiek leciwy -przedmiot wzmianki niewart,
Znoszony płaszcz na kiju -póki w ręce
Nie kłaśnie dusza i w głos nie zaśpiewa
Za każdą łatę na ziemskiej sukience.
I nie dla lekcji śpiewu, lecz na chwałę
Pomnikom własnej swojej wspaniałości.
Dlatego żagle rozwijam i gnam tu,

Ku wiezom miasta świętego Bizancjum.

III

O, mędrcy, w święty ogień oprawieni
Jak w pozłocistą mozaikę na ścianie,
Porzućcie dla mnie święty krąg płomieni
I duszę moją natchnijcie śpiewaniem,
Pochłońcie serce moje: chucią chore
I w konającym zwierzęciu zamknięte,
Nie wie, czym jest; ja ponad serca sprzeczność
Ulecę z wami w sztuczność -czyli wieczność.

IV

Raz uwolniony z natury, już więcej
Nie przyjmę formy żyjącej istoty,
Lecz tę jedynie, którą Greków ręce
Kuły ze złota, nie szczędząc pozłoty,
By cesarz z nudów nie oddał się drzemce;
Z gałęzi złotej śpiewać będę o tym
Panom i paniom w Bizancjum krainie,
Co przeminęło, co mija, co minie

Zakochany Mówi o Róży w Swoim Sercu



Wszystkie rzeczy brzydkie, zepsute, stare i zniszczone,
Płacz dziecka obok drogi, wóz, który skrzypi i zgrzyta,
Ciężkie kroki oracza, co w błocie wiosennym tonie,
Krzywdzą twój obraz, który mi różą w sercu zakwita.

Ta krzywdą rzeczy niekształtnych nie da się w słowa ująć,
Pragnę je stworzyć od nowa i siać na zielonym wzgórzu,
Nad ziemią, niebem i wodą --nowymi jak złota szkatuła
Na obraz twój z moich snów, który mi w sercu zakwita różą.

Zmierzch



Serce sterane, w przebrzmiałym czasie,
Wyrwij się z sidła dobrego i złego,
Zaśmiej się znowu wśród zmierzchu szarego,
Westchnij znów, serce, o porannej rosie.

Nie wie twa matka Eire, co to starość,
Zawsze łśni rosa, zawsze zmierzch szarzeje,
Choć miłość mija i bledną nadzieje,
Kiedy płomienie oszczerstwa je palą.

Pójdź, serce, gdzie piętrzy się stok nad stokiem,
Bo tam mistyczny jest związek jedyny
Słońca z księżycem, lasu i doliny,
Tam rzeka drogę drąży wraz z potokiem.

I woła Bóg samotnym rogu głosem,
A czas i świat jednako zawsze pierzcha,
Miłość jest mniej łaskawa od szarego zmierzchu,
Nadzieja nie tak droga jak poranna rosa.

Vacillation



I

Między ostateczności
Wchodzi rodząc się człowiek:
Żagiew, tchnienie płomienia
W końcu kres kładą
Sprzeczności
Nocy i dnia.
Ciało śmiercią to zowie,
Serce --wyrzutem sumienia.
Jeżeli mają rację --
Czym jest radość?

II

Istnieje drzewo, które jest w połowie
Migocącym promieniem, w drugiej zielonością

Zwilżaną rosą, wspaniałym listowiem.
Każde pół jest połową, a przecie całością.
Co pół na pół pochłona, odnawiają obie.
Kto między tą jaskrawą furią a bujnością
Ślepych liści --Attisa wiesza wizerunek,

Nie wie, czego on zaznał, lecz nie zna, co smutek.

III

Gromadź złoto i srebro, skoro tak kuszące,
Zaspokajaj ambicje, niech jakaś ponęta
Ożywi dni banalne, wypełni je słońcem,
Lecz o tych kilku zasadach pamiętaj:
W kobietach próżniak budzi uczucia gorące,
Chociaż ich dziatwa musi być majątna.
Nie ma jednak mężczyzny, który miałby dość
Wdzięczności dzieci, kobiecej miłości.
A kiedy cię uwolni letejskie listowie,
Przygotuj się do śmierci, do niej stosuj miary:
Czterdzieści lat skończywszy winien mierzyć człowiek
Tą myślą każde dzieło umysłu czy wiary,
Wszystkie prace rąk swoich i tworzone w słowie,
Nazywać zaś te prace fantazji oparem --
Co nie przystoją tym, którzy przed sobą
Kres widząc, idą dumnie, z uśmiechem do grobu.

IV

No cóż, pięćdziesiąt lat już mam,
Myślałem, siedząc kiedyś sam

W londyńskiej kawiarence.
Stolika marmurowy blat
Zdobiał po filiżance ślad,
Otwartą książkę miałem w ręce.
Wtem, gdym przyglądał się przechodniom,
Ognistą stałem się pochodnią:
Dwadzieścia minut żar mnie trawił
Takiego szczęścia, żem na jawie
Błogosławiony błogosławił.

V

Chociaż słoneczne światło lata
Złoci obłoczne liście nieba,
A zimowe pola poświata
Księżycowa zamiecią zalewa,
Nie mogę patrzeć na nie w oddali,
Tak bardzo ciąży mi odpowiedzialność.
Com rzekł lub zrobił dawno temu
I czegom nie rzekł, nie uczynił,
Choć mogłem być (zmniejszając winy),
To wszystko ciąży mi --dnia nie ma,
By nie wracało do mnie przypomnienie
Sprawy trwożącej próżność lub sumienie.

VI

Zapach świeżego siana
Z pól nadrzecznych napłynął
W nozdrza Czou, boga i pana.
Z gór więc sypnął śnieżną lawiną:
"Niech wszystkie sprawy miną."
Koła ciągnięte przez białe osły,
Gdzie Niniwa wzrosła i Babilon.
Ściągnął lejce zdobywca; doniosły
Głos do walką zmęczonych spłynął:
"Niech wszystkie sprawy miną."
Z nasiąkłego krwią serca gałęzie
Nocy i dnia się rozwina
I jaskrawy zawiśnie w nich księżyc.
Jakież mają znaczenie pieśni?
"Niech wszystkie sprawy miną."

VII

Dusza: Odkrywaj rzeczywistość, rzuć świat wyobrażeń.
Serce: Jak to, nie mieć tematu, gdy się jest pieśniarzem?
Dusza: Prócz węgli Izajasza, czegoż pragnie człowiek?

Serce: Oniemiały przez zwyczajny ogień;
Dusza: Spójrz na ten ogień: zbawienie zawiera.
Serce: Lecz to grzech pierworodny tematem Homera!

VIII

Musimy się rozstać, Von Hügel Tak podobni do siebie?
Obaj wierzymy w cuda i czcimy świętych w niebie.
Ciało świętej Teresy pod płytą tłoczoną leży,
Nietknięte, skąpane w olejkach, wydziela zapach świeży
I uzdrawia zza grobu. Może te same ręce
Zachowały na wieczność ciało współczesnej świętej,
Co wygrzebały mumię Faraona? Ja --choćby sercu lżej było,
Gdybym stał się chrześcijaninem i mógł uwierzyć z siłą
W to, co najbardziej w śmierci pożądane --gram przeznaczoną mi rolę.
Pogańskie serce Homera, Homer jest moim wzorem.
Lew oraz plaster miodu, jak mówią Pisma strony?
Ruszaj więc stąd, Von Hügel, lecz bądź błogosławiony.

Urok Tego, Co Trudne



Urok tego, co trudne, wciąż wysusza soki
W moich żyłach, wrodzoną pogodę odbiera
I żywiołową radość z serca mi wydiera.
Coś dolega żrebcowi, chociaż pod obłoki
Zwykł skakać na Olimpie od chmury do chmury,
Choć święta krew w nim płynie. Gdy bicz dotknie skóry,
Drży, spływa potem, rzuca się na boki,
Jakby włókł drogą tłuczeń. Więc przeklinam sztuki,
Które znów po swojemu wystawia nieuki,
Utarczki z każdym durniem i łotrów wyskoki,
Ten cały świat teatru, kierowanie ludźmi.
Przysięgam, jeszcze zanim świt się zbudzi,
Będę w stajni i wyrwę z niej rygiel bez zwłoki.

Starcy Wpatrzeni w Swoje Odbicia w Wodzie

The Old Men Admiring Themselves in the Water

Usłyszałem, jak starcy sędziwi mówili:
"Wszystko się zmienia,
Każdy z nas coraz niżej ku ziemi się chyli."
Palce mieli jak szpony, a starcze kolana
Wykręcone jak wierzba, wiekiem pochylana
U wód strumienia
Usłyszałem, jak starcy sędziwi mówili:
"Wszystko, co piękne, znika, znika w jednej chwili
Jak nurt strumienia."

Spirale



Spirale! Cykle! Spójrz, Stary Jaskiniowcze:
Nikt już nie snuje nazbyt długowiecznych marzeń,
Ginie -że nazbyt cenne -wszystko, co najdroższe,
A prądawne kontury skreśla się i maże.
Strugi krwi bezsensowne plamą ziemi pościel;
Empedokles w krąg rozsiał proch rzeczy i zdarzeń;
Hektor nie żyje, łuna bije sponad Troi;
Nam, widzom, śmiech radości tragicznej przystoi.
Cóż stąd, że koszmar dławi, że krew świeżych udręk,
Zmieszana z błotem, ciało obolałe plami?
Cóż stąd? Westchnienie wstrzymaj, łzę powściągnij z trudem.
Czas wspanialszy, łaskawszy pozostał za nami;
Do kształtów malowanych lub puzderek z pudrem,
Skrytych w starych grobowcach, tęskniłem czasami,
Lecz przestałem; i cóż stąd? Gdy dobiega wreszcie
Głos z jaskini, zna jedno tylko słowo: "Ciesz się!"
Pospolicieje praca, duch, obyczaj, słowo -
Cóż stąd? Ci, których Stary Jaskiniowiec ceni,
Miłośnicy wierzchowców i kobiet, na nowo
Z marmurów rozpękłego grobu albo z cieni
Gęstniejących pomiędzy gryzoniem a sową
Lub z każdej żyznej, mrocznej i pustej przestrzeni
Odgrzebią wyrobnika, świętego, magnata
I pomkną wtórnym cyklem wszystkie rzeczy świata.

Irlandzki lotnik przeczuwa swoją śmierć



Że się dopełni mój los, wiem,
Gdzieś wśród znaczonych w chmurach dróg;
Nie kocham, których bronię, ziem,
Przeciwnik mój to nie mój wróg;
Krzyż Kiltartański to mój kraj,
Lud Kiltartański to mój lud,
Z mej śmierci dla nich ani raj,
Ni nie wyniknie większy głód.
Nie obowiązek pcha mnie w bój,
Ni prawo ani pochwał chór,
Lecz poryw marzeń mnie w ten znój,
W to kłębowisko rzucił chmur.
Zważyłem wszystko -szereg lat,
Czy przede mną, czy za mną, mniej
Się, niż myślałem, zdaje wart,
Gdy widzę życie to i śmierć.

I. Głupia Jane i Biskup
Prowadź, niech z północy dzwonem,
Gdzie dąb osmalony gromem,
(W grobie wszyscy pokój mają.)
Klątwę ściagnę mu na głowę
Za to życie Jakubowe.
Krótką mu wypalił mowę:
Człek solidny a fanfaron.
Nawet nie proboszcza przykaz
Wygnał Kubę Czeladnika,
(W grobie wszyscy pokój mają.)
I nie biskupa, pamiętam.
Rzekł --a w ręce księga święta -
Że żyjemy jak zwierzęta.
Człek solidny a fanfaron.
Biskup skórę ma, Bóg świadkiem,
Pomarszczoną jak gęś łapkę
(W grobie wszyscy pokój mają.)
I nie skrywa czerń ta Boża
Czaplego garbu, aż zgroza,
A mój Kuba był jak brzoza!
Człek solidny a fanfaron.
Kuba mi zabrał mój wianek,
Woła mnie pod dąb, kochanek,
(W grobie wszyscy pokój mają.)
Sam wychodzi w nockę ciemną,
W cieniu się spotyka ze mną.
Gdyby tamten przyszedł --klnę go!
Człek solidny a fanfaron.

Poeta Opłakuje Zmianę, Jakiej Ulegli On I Jego Ukochana, I Pragnie Końca Świata



Nie słyszysz, jak cię wołam, łani bezrożna, czysta?
Przemieniono mnie w charta z czerwonym jednym uchem.
Wiedzie mnie las cierniowy i ścieżka kamienista.
Ktoś wsunął strach, nienawiść, nadzieję, żądze głuche
Pod moje stopy, żeby ciebie ścigały stęsknione.
Mężczyzna z witką leszczyny bezszelestnie się zakradł
I z nagłą mnie przemienił, gdym patrzył w inną stronę.
A teraz moje wołanie jest wołaniem charta.
I obok przepływają czas, zmiana, narodzenie.
O, niechby nadszedł z Zachodu pozbawiony sierści odyniec
I wyrwał z nieba słońce, księżyc i gwiazdy z korzeniem -
I legł w ciemności, chrząkając, moszcząc się na spoczynek.

Piosenka starej matki



Wstaję o świcie i klękam, i dmucham,
Aż ziarnko ognia zbudzę, odchucham.
Potem już czas szorować piec, zamiatać,
Nim gwiazdy zaczną mrugać, zerkać do świata.
A młode długo leżą, marzą w łóżu,
Jak wstążki dobrać, na pierś, na czoło włożyć.
Dzień cały pędzą bałamutnie,
Niech im we włosy dmuchnie wiatr, już smutne.
Ja stara jestem, a muszę pracować,
I słabnie, stygnie ziarenko ognia.

Piosenka Aengusa Wędrowca



Schowałem się w cień leszczyny,
Bo mi ogień palił głowę,
Witkę z kory ostrugałem,
Wbiłem na haczyk jagodę.

Kiedy biała ćma pomyka,
I ćma gwiazd niebo zaciąga,
Na jagodę ze strumyka
Srebrzystego łapię pstrąga.

Położyłem go na ziemi,
Żeby rozdmuchać ognisko,
Gdy cos smyrnęło po ziemi
I ktoś mnie zawołał z bliska.

Mój pstrąg już dziewczę przeźrocze
Z kwiatem jabłoni w warkoczu.
Zawołała mnie, uciekła,
W świt się blady przeoblekła.

Choć posiwiałem wśród drogi
Po nizinach, po wyżynach,
Dowiem się, gdzie mi uciekła,
Ucałuję i przytrzymam.

Pójdę przez pstrokate trawy
Zrywać, nim się czas dokończy,
Srebrne jabłka księżycowe
I złociste jabłka słońca.

W zmierzchu



Serce sterane, w przebrzmiałym czasie,
Wyrwij się z sideł dobrego i złego,
Zaśmiej się znowu wśród zmierzchu szarego,
Westchnij znów, serce, o porannej rosie.

Nie wie twa matka Eire, co to starość,
Zawsze łśni rosa, zawsze zmierzch szarzeje,
Choć miłość mija i bledną nadzieje,
Kiedy płomienie oszczerstwa je palą.

Pójdź, serce, gdzie piętrzy się stok nad stokiem,
Bo tam mistyczny jest związek jedyny
Słońca z księżycem, lasu i doliny,
Tam rzeka drogę drąży wraz z potokiem.

I woła Bóg samotnym rogu głosem,
A czas i świat jednako zawsze pierzcha,
Miłość jest mniej łaskawa od szarego zmierzchu,
Nadzieja nie tak droga jak poranna rosa.

Nieśmiertelne głosy



Och, zamilknijcie, słodkie Nieśmiertelne Głosy;
Każcie tym, co czuwają nad niebiańską trzodą,
By zstąpili płomieniem z płomiennych niebiosów,
Póki wreszcie bieg czasu całkiem nie ustanie;
Skoro wiecie, że z naszych serc umknęła młodość,
Czemu śpiewacie w wietrze, który mierzwi wrzosa,
W ptakach, w szumie gałęzi, w spienionym bałwanie?
Och, zamilknijcie, słodkie Nieśmiertelne Głosy

Białe ptaki



O, być z tobą wraz, ukochana,
białym ptakiem na morskiej kipieli!
Męczy nas blask meteoru,
co, nim zgaśnie, płomieniem strzelił.
Płomień gwiazdy błękitnej zmierzchu,
zawieszanej na nieba krawędzi,
Budzi smutek w sercach, najmiłsza,
którego nic nie odpędzi.

Znużenie śle lilia i róża,
marzycielki rosą okryte.
Ukochana, nie śnij o blasku
gwiazdy barwionej błękitem
Ni o płomieniu, którym
spadający meteor strzelił.
Chciałbym się stać wraz z tobą
białym ptakiem na morskiej kipieli!

Spokoju nie dają mi wyspy,
rozliczne wybrzeża Danajów,
Gdzie czas zapomniałby o nas,
gdzie troski nie docierają.
Tam, z dala od róży i lilii,
płomień tknąć by się nie ośmielił,
Ukochana, dwóch białych ptaków
unoszonych na morskiej kipieli.

Kiedy już siwa twa głowa



Kiedy już siwa twa głowa, osnuta snem, zamyśleniem,
Pochyli się nad kominkiem, weź w ręce tę książkę i czytaj,
Czytaj powoli i wspomnij, jak uśmiech twój niegdyś rozkwitał,
I wspomnij, jakim głębokim oczy mroczyły się cieniem.

I wspomnij jak wielu kochało uśmiech łagodny i jasny,
Kochało -- szczerze lub złudnie -- czar, co radość twą zdołał,
Lecz jeden człowiek miłował duszę wędrowną w tobie,
I wtedy miłował najbardziej, gdy w smutku twe oczy gasły.

Schylając się tak, schylając nad tlejącym ogniskiem,
Pomyśl, trochę ze smutkiem, o tym, jak miłość odeszła.
Czy odleciała na skrzydłach, by w górach wysokich zamieszkać,
Czy może twarz swą ukryła w gwiazd zamieci srebrzystej.

Smutek miłości



Pod okapami strzech wróble świergoty,
Niebo brzemienne blaskiem srebrzystych promieni,
Śpiew liści w drzeniu drzew jesienią złotych
Zgłuszyły stary płacz znużonej ziemi.

I wtedy przyszedł ty, z czerwienią warg bolesnych,
A razem z tobą wszystkie łzy całego świata,
Wszystkie trudy okrętów z jego mórz bezkresnych,
Jego nieprzeliczone, udrećzone lata.

I oto pod strzechami ptaszęce świergoty,
Przepych srebrnego blasku, gwiazdzistych promieni,
Śpiew liści w drzeniu drzew jesienią złotych
Napełniły się starym płaczem biednej ziemi.

Żałość miłości



Żałość, której nic nie wypowie,
W sercu miłości się kryje:
Na gościńcach, na rynkach - ludzi mrowie,
Chmury na niebie niczyje,
Zimne wichry jesieni, łomoczące
I w drzwi, i w okna, i w ściany
Wody szare, pośród drzew płynące -
Grożą głowie umiłowanej.

Kołysanka



Nad twą poduszką, mój miły,
Aniołów gromada skrzydlata.
Już im się trochę znudziły
Jęki umarłych w zaświatach.

Bóg ma uśmiech na twarzy,
Spoglądając na ciebie.
Nawet Siedmiu Żeglarzy
Świeci jaśniej na niebie.

Całuję twe drobne usteczka,
Lecz wzdycham przy tym żałości.
Zabraknie mi ciebie, syneczku,
Kiedy mi wreszcie dorośniesz.

Innisfree, wyspa na jeziorze



Wstanę teraz, by pójść ku wyspie Innisfree,
Chatka z gliny i łóz na środku wyspy stanie:
W dziewięciu rzędach groch i ul, i pszczoły, i
Mieszkanie będę miał na pełnej pszczół polanie.

I znajdę spokój tam, gdzie świerszczy śpiewny gwar,
Spokój z poranka mgieł powoli spłynie w końcu;
Północ tam zawsze łśni, błyszczy południa żar,
A purpurowy zmierzch pełen jest skrzydeł dzwońców.

Wstanę teraz, by pójść, bo słyszę fali głos,
Choć plusk, gdy liże brzeg, ledwie się wsącza w ciszę;
Jezdni pod stopą bruk, chodnik czy asfalt szos,
Słyszę go w dzień i noc, na serca dnie go słyszę.

Róża pokoju



Zapomniałby Michał Archanioł,
Gdy się potyka Piekło z Niebem,
Ze miecze dokoła szczękają,
Gdyby z Niebios spojrzał na ciebie.

Już nie myśląc o wojnach Bożych
Opuściłby Niebios zagrodę,
By z gwiazd utkać i włożyć
Diadem na twoją głowę.

A ludzkość widząc, jak się schyla,
Jak łnisz gwiazdami rozświetlona,
Do Boga wreszcie by wróciła
Przez ścieżki proste prowadzona.

Bóg widząc dobro rzeczy wszystkich
Walk by nakazał zaprzestanie,
Różowy pokój by się ziścił,
Nieba i Piekła pojednanie.

Róża świata



Kto to wyśnił, że piękno jako sen uchodzi?
To dla warg tych czerwonych, smutnej dumnej twarzy
-- Smutnej, bo już się żaden nowy cud nie zdarzy --
Troja płonęła na wysokim żałobnym stosie,
A z rodziny Usnecha wyginęli młodzi.

Z tym światem pełnym udręk wszyscy przemijamy,
Pośród wielu dusz ludzkich, co jak blade tonie
Chwieją się, by odpłynąć w zimowej pogoni,
Pod niebem rozpienionym mnogimi gwiazdami
-- To wszystko żyje w jej twarzy samotnej.

Skłońcie się, archanioły, w swych sferach zamglonych,
Bo zanim nastaliście, a serca zabiły
Ktoś stał przy tronie Boga, dobry i bez siły;
Jego świat miał być traktem dla jej stóp strudzonych,
Traktem trawiastym, miłym.

Tam koło wierzbowych ogrodów



Tam koło wierzbowych ogrodów z najmilszą mą się spotkałem;
Przebiegły wierzbowe ogrody jej stópki niby śnieg białe.
Mówiła, bym miłość brał lekko, jak liście rosną w ogrodzie,
A ja byłem młody, szalony, nie śniło mi się o zgodzie.

Na polu nad rzeką przy grobli razem z najmilszą mą stałem,
Na moim ramieniu oparła swe ręce niby śnieg białe.
Mówiła, bym życie brał lekko, jak trawa rośnie nad rzeką,
Lecz ja byłem młody, szalony, teraz mnie gorzkie łyzy pieką.

Opodał ogrodów wikliny



Opodał ogrodów wikliny z kochaną spotkać się miałem:
I przeszły przez zarośla jej nóżki śnieżnobiałe.
Chciała, bym miłość brał lekko, jak drzewo liście rodzi,
A ja byłem młody i głupi, nie chciałem na to się zgodzić.

W polu nad rzeką płynącą z moją kochaną stałem,
Złożyła mi na ramionach swe ręce śnieżnobiałe.
Chciała, bym życie brał lekko, jak trawa na grobli rośnie,
Lecz byłem młody i głupi, i teraz płaczę żałośnie.

Poeta pragnie szaty niebios



Gdybym miał niebios haftowane szaty,
Złotym i srebrnym przetykane światłem,
Błękitne, ciemne, przydymione szaty
Nocy i światła, i półświatła,
Rozpostarłbym je pod twoje stopy.
Lecz jestem biedny, mam tylko sny,
Moje sny ścielę pod twoje stopy,
Stąpaj więc lekko, bo stąpasz po snach.

Ephemera



"Twe oczy, którym nigdy nie dość było moich,
Pochyliły się w smutku za powiek zasłoną,
Bo nasza miłość pierzchnie."

Wtedy ona rzecze:
"Choć to prawda, że nasza miłość pierzchnie, stańmy
Jeszcze raz na samotnym wybrzeżu jeziora,
Obok siebie, w godzinie wielkiej łagodności,
Kiedy znużone dziecko, Namiętność, zasypia,
Jak dalekie są gwiazdy. Pierwszy pocałunek
Jak daleki. I jakże stare moje serce!"

Zamyśleni kroczyli przez uwiędłe liście,
A potem on, trzymając jej rękę w swej dłoni,
Powiedział z wolna: "Pomyśl, te serca wędrowne,
Nasze serca, Namiętność nieraz utrudziła."

Lasy były dokoła. I pożółkłe liście
Jak blade meteory przez półmrok spadały.
Stary, kulawy królik kuśtykał po ścieżce.
Jesień była nad nimi. I oto stanęli
Jeszcze raz na samotnym wybrzeżu jeziora.
Obróciwszy się, ujrzał, jak umarłe liście -
Wilgotne jak jej oczy - w milczeniu zebrane,
Rozrzuciła na piersiach i włosach swych.

"Nie płacz,
żeśmy znużeni. Inne miłości spotkamy.
Wciąż nienawiść i miłość, bez kresu i żalu.
Przed nami leży wieczność cała. Nasze dusze
Miłością są i nieustannym pożegnaniem."

Poeta życzy ukochanej, żeby zaznała spokoju



Słyszę konie z Krainy Cieni, rozwiane ich długie grzywy,
Kopyta ciężkie wzburzeniem, oczy łyskają biało,
Północ nad nimi rozciąga noc lepką, pełznącą pomału,
Wschód swoją radość ukrytą w przedświcie lęklwym,
Zachód przejrzystą rosą płacze i wzdycha, nim minie,
Południe płonącymi różami jak ogień ziele.

O, marnością jest sen, bezkresne pragnienie, nadzieje,
Konie klęski je zdepcą, pogrążą w ciężkiej glinie;
Przymknij oczy, kochana, niech twoje serce bije
Tuż przy moim, a włosy rozsyp na moich ramionach,
Niech zatopią godzinę miłości jak gęsta zmierzchu zasłona,
Która rozwiane grzywy i tętniące kopyta skryje.

O mądrości, co przychodzi z czasem



Korzeń jest jeden, choć liści tysiące.
Przez cały zakłamany młodości dzień
Kapałem swoje kwiaty, swoje liście w słońcu,
Teraz się mogę w prawdy usunąć cień.

Poeta wspomina zapomniane piękno



Gdy otaczam cię ramieniem, wraz z tobą
Obejmuję całą urodę,
Która dawno ze świata zniknęła:
W cień sadzawek korony i berła
Odrzucone, gdy nie stało armii;
Baśń miłosną, którą śniły czasem
Damy haftujące ją atłasem
Na tkaninie, którą mól się lubi karmić;
Róże, które niegdyś urocze
Damy wpinały w warkocze;
Chłodne lilie, niesione w darze
Przez święte korytarze,
Gdzie w kadzideł dymnym obłoku
Jeden Bóg nie przesłaniał wzroku.
Bo ta biała pierś, senne ręce,
Bardziej z kraju marzeń są i więcej
Kryją snów, inny czas je wydał.
Kiedy pośród pocałunków wzdychasz,
Słyszę białą Piękność, jak z cicha
Do chwil, kiedy wszystko zniknie, wzdycha,
Prócz głębi nad głębie, płomienia w płomieniu,
Prócz tronu nad trony, gdzie śnią w półuśpieniu
Z mieczami na kolanach, zsunąwszy przyłbice,
Jej samotne, wielkie tajemnice.

Pieśń Rudego Hanrahana o Irlandii



Wysoko nad Cummon Strand'em łamią się stare głogi
We wściekłym wichrze, co z lewa dmie i spycha z drogi.
Pęka odwaga jak stary pień na wietrze pośród nocy,
Lecz myśmy w sercach pochowali płomień oczu
Cathleen, Houlihana córy.

Wysoko nad Knocknarea wiatr spędził sine chmury
I piorun bił -- niech mówi Maeve, co chce -- w kamienie z góry
Złości, co są jak gromki szkwał, w sercach nam wrą ukropem,
Lecz każdy niziuteńko się pochyla, całuje ciche stopy
Cathleen, Houlihana córy.

Wysoko, het, na Clooth-na-Bare wezbrały żółte wody,
W lepkim powietrzu mokry wiatr nie daje ochłody.
Ciężkie jak ton wezbrana ciała nasze i krew chyża,
Lecz bielsza od wysokiej świecy u stóp Świętego Krzyża
Jest Cathleen, Houlihana córa.

Pod Księżycem



Ani o Bryselindzie marzenie mnie nie bawi,
Ni Avalonu zielona kotlina czy Wyspa radości,
Gdzie oszalały Lancelot przez czas krótki gościł,
Ni Uladh, kiedy Naisi żagiel na wiatr postawił,
Ani krainy, zbyt bodaj mgliste, żeby na sercu zaciążyć:
Ta Pod Falami, gdzie siedem staruch przedzie bez końca
Nić życia długowiecznych ze światła księżyca i słońca,
Kraina Wieży, której bram Aengus rozwarł wrzeczadze,
Las Dziwów, gdzie wołu zabijają o świtanie,
By o zmroku znaleźć go na marach krytych złotogłowiem.
Mieszka tam Branwen i Guinewra, i inne królowe,
Najam, Laban i Fand, które zmieniają się w wydrę lub łanię,
I pani lasu, której kochanek w jasnookiego jastrzębia zmieniony.
I tak, czy błędę we snach lasem, brzegiem lub doliną,
Czy po bezludnych falach z monarszą załogą płynę,
Słyszę, jak sławi je harfa, słyszę rozmów przesmutne tony.

To z winy opowieści wysłuchanej pod chudym różkiem
Księżyca myśliwych wiszącego między nocą a świtem,
Śnić o kobietach, których piękność grozą była spowita,
Choćby i w starej sadze, to pokarm dla mnie zbyt gorzki.

Nie było drugiej Troi



Czemu mam ją potępiać za to, że dni moje
Wypełniła cierpieniem i w czasie ostatnim
Sposobiła lud prosty do gwałtu i boju,
Gotowa wysłać wąskie zaułki przeciw dzielnicom dostatnim.

Czy odwaga i chęci to są dwie równości?
Cóż mogło ją ukoić, ją -- umysł tak prosty
Jak ogień, przetworzony czystą szlachetnością,
Ją -- piękno jak łuk napięty, ostry?

Spotyka się je rzadko teraz, w naszej dobie,
Piękno takie wyniosłe, samotne, surowe.
Cóż mogła więc poradzić, będąc tylko sobą?
Czy była jakaś Troja do spalenia nowa?

Urok tego, co trudne



Urok tego, co trudne, wciąż wysusza soki
W moich żyłach, wrodzoną pogodę odbiera
I żywiołową radość z serca mi wydiera.
Coś dolega żrebcowi, chociaż pod obłoki
Zwykł skakać na Olimpie od chmury do chmury,
Choć święta krew w nim płynie. Gdy bicz dotknie skóry,
Drży, spływa potem, rzuca się na boki,
Jakby włókł drogą tłuczeń. Więc przeklinam sztuki,
Które znów po swojemu wystawiają nieuki,
Utarczki z każdym durniem i łotrów wyskoki,
Ten cały świat teatru, kierowanie ludźmi.
Przysięgam, jeszcze zanim świt się zbudzi,
Będę w stajni i wyrwę z niej rygiel bez zwłoki.

Wszystko mnie odwieść może



Wszystko mnie odwieść może od mego rzemiosła:
Za młodu twarz kobieca lub, co gorsze, wzniosła,
Choć pozorna potrzeba okpionego kraju.
Dziś inne sprawy znaczenia nie mają,
Tylko ten trud pisania: do niego przywykłem.
Za młodu szanse u mnie poeta miał nikłe,
Jeśli do zrozumienia nie dawał słuchaczom,
Że chowa miecz w ukryciu, zaledwie pieśń zaczął.
Dziś, gdybym mógł wybierać, to wolałbym chyba
Być bardziej zimny, głuchy i niemy niż ryba.

Do przyjaciela, którego praca poszła na marne



Gdy klęska stanie przed tobą,
Wysłuchaj prawdy w milczeniu,
Bo jakże równać ze sobą
Człowieka, w którego sumieniu
Pojawić się nie może
Najmniejsze wstydu znamię,
Gdy ty, wychowany w honorze,
Potrafisz dowieść, że kłamię?
W trudniejszym ćwiczony męstwie,
Na Triumf spojrzysz ze wzgardą,
I bądź jak struna, w szaleństwie
Zmuszana do śmiechu przez barda
Wewnątrz budowli z kamienia,
Bowiem najtrudniej na świecie
Zwycięzać pośród milczenia
I cieszyć się z tego w sekrecie.

Do Cienia



Jeśli znów, blady Cieniu, błądzisz po tym mieście,
Czy dlatego, że chciałeś na swój pomnik spojrzeć,
(Ciekaw jestem, czy twórcy zapłacono wreszcie?)
Czy też z pogodną myślą, bo ten dzień nad morzem
Spędziłeś, pijąc słony powiew i skrzydlatą
Czeredę mew dokoła miałeś zamiast ludzi,
A blask ponurym domom przydał majestatu --
Niech cię to zadowoli: odejdziesz, by nie wrócić,
Bo oni znów próbują starych sztuczek.

Człowiek

Jak ty niegdyś oddany, pełen poświęcenia,
Co pełną garścią dawał, aby ich synowie
(Gdybyż to chcieli pojąć!) poznali wzruszenia
Słodsze, myśli wnioślejsze, co w ich żyły
Lał krew szlachetną - dziś wygnany z miasta,
A za niezwykłą szczodrość niewdzięczna niełaska.
Twój wróg, plugawe łgarstwo, nasłał ową sforę
Na niego.

Niespokojny wędrowcze, czas ruszyć.
Narzutę z Glasgevinu na swą głowę w porę
nasuń, aż pyłem zasypie ci uszy.
Nie czas jeszcze, byś chwycił na ulicach głosy,
Żebyś smakował słony morski powiew.
Zanim umarłeś, miałeś smutku dosyć,
Odejdziesz stad! Jesteś bezpieczniejszy w grobie.

Trzej Pustelnicy



Przyszli kiedyś na wybrzeże
Pustelnicy trzech wiekowi.
Pierwszy mruczał swe pacierze,
Drugi w szmatach jął pchły łowić.

Trzeci, który miał sto lat
I mąciło mu się wszystko,
Jak ptak na kamieniu siadł.
"Chociaż Wrota Śmierci blisko

I to, czego one strzegą,
Trzykroć co dzień lat swych brzemię
Niosę tutaj, lecz na brzegu
Zamiast modlić się, to drzemię."

Tyle pierwszy. Rzekł mu drugi:
"Gdy się myśli, czyny zważy,
Mamy wedle swej zasługi.
Więc na pewno tak się zdarzy,

Że świętym mężom pozwolą
Znów przejść przez Wrota Narodzin,
Choć zgrzeszyli słabą wolą.
I znów ciżba im dogodzi,

Aż się zechcą z niej wydostać."
Tamtej jęknął: "Lecz się trwożę,
Że okropną wezmą postać!"
Drugi śmiał się: "Słowo Boże

Miłowali, większość przeto
Weźmie postać taką samą -
Choć może któryś poetą
Stać się, królem, nawet damą."

Zgniótł pchłę i znów zaczął łowić.
Trzeci, który miał sto lat
I mąciło mu się w głowie,
Nucił cicho niby ptak.

Zimne Niebiosa



Nagle ujrzałem zimne niebo -- gawronów radość --
Co, wypalone lodem, było samym lodem,
To niebo -- wyobraźni, sercu było zadość
I nawet najzwyklejsza myśl o tym i owym
Zanikła, pozostałem z wspomnieniem miłości daremnej,
Co powinno zaniknąć razem z krwi młodością,
Wziąłem za wszystko winę, całkiem niepotrzebnie,
Rozpłakałem się, drżałem, miotany żalnością,
Podziurawiony światłem. O, gdy duch się budzi
Po zamęcie i zgielku łoża śmiertelnego,
Czy wędruje po drogach, nagi, jak mówią ludzie,
Porażony srogością sądu niebieskiego?

Trzej Królowie



I w tej chwili, i zawsze mogę ujrzeć ich w wyobraźni:
W barwnych i sztywnych szatach, bladzi, nienasyчени,
Majaczą w głębiach nieba, sędziwi i niewyraźni,
Z twarzami podobnymi do deszczem splukanych kamieni,
Z szyszakami ze srebra unoszącymi się w górze,
Z oczyma, co wciąż patrzą, krwawym Kalwarii cierniem
Nie nasycone - patrzą, aby raz jeszcze ujrzeć
Na bydlęcym klepisku niepojęte misterium.

Dzikie łabędzie w Coole



Drzewa jesienne wypiękniały,
Obeschły ścieżki leśne,
Październikowe niebo syci wodę
Pogodnych zmierzchem;
Na wodzie, gładkiej aż do skał krawędzi --
Pięćdziesiąt dziewięć łabędzi.

Już dziewiętnasta jesień, odkąd
Pierwszy raz je liczyłem,
Odkąd przerwały nagle mój rachunek
Wzlotem pochyłym
I, zataczając krzykliwe spirale,
Odfrunęły gdzieś dalej.

Widzę je znów, olśniewające,
I skurcz mi serce dławi.
Wszystko jest inne, niż w dzień, gdym raz pierwszy
Na tym brzegu się zjawił,
Słuchał skrzydeł bijących jak dzwon pod obłokiem
I lżejszym stąpał krokiem.

Para za parą, niestrudzone,
Płyną, niesione chłodem
Przyjaznych prądów, lub wzlatują w niebo;
Ich serca są wciąż młode;
Gdzie chcą, wędrują -- z pasją swą czy żądzą
Wciąż im towarzyszącą.

Lecz dziś unosi je woda spokojna,
Piękne tajemne ptaki;
W jakim sitowiu będą wiły gniazda,
Na skraju jezior jakich
Zachwycą ludzkie oczy, gdy w któryś świt biały
Ujrzę, że odleciały?

Słowa Napisane w Przygnębieniu



Kiedy to raz ostatni oglądałem, kiedy
Wielkie zielone oczy i smukłe giętke ciała
Czarnych lamparcic, które zamieszkują księżyc?
Wszystkie szalone więdźmy, armia cała
Tych dam szlachetnych mimo ich mioteł i łez,
Łez gniewu, prysła -- to mamidło.
Znikły też święte centaury z gór.
Nic nie ma poza słońcem, a ono mi zbrzydło,
Wygmana matka Luna też się schowała.
I dziś, gdy zbliżam się ku pięćdziesiątce,
Znosić muszę to mdłe, lękliwe słońce.

Świt



Obym tak ślepy był jak zorze świtu,
Co na starą królową spoglądały z góry,
Kiedy mierzyła miasta mury
Szpilką od broszy,
I na kostecznych starców Babilonu,
Którzy wśród nieboskłonu
Śledzili drogi płochych planet,
Gwiazdy, co bledną, kiedy księżyc wstanie,
Na swych tabliczkach mnożąc i dodając.
Obym tak ślepy był jak zorze świtu,
Co tylko wstał i w lśniącym wzniósł się rydwanie
Nad chmurne grzbiety rumaków.
Chcę być ślepy i pusty jak te zorze świtu,
Bo wiedza nie jest warta funta kłaków.

W cieniu Saturna



Choć Saturn na mój nastrój ponury cień rzuca,
nie myśl, że miłość stracona -- od myśli mej nieodłączna,
Bo innej młodości nie mam -- tak mnie dzisiaj zasmuca.
Bo czyż mógłbym zapomnieć mądrość i otuchę,
Które niegdyś mi dałeś? Umysł rusza w drogę
W galopie fantastycznym, a wspomnienia z dzieciństwa
Do boków mego konia przykładają ostrogę:
Stary, chytry Pollexfen; Middleton, którego
Nie znasz nawet z imienia; rudy Yeats, co umarł,
Nim dorosłem, choć stoi mi wyraźnie w pamięci.
Pamiętasz, na gościńcu, przy mołu nad Sligo
Parobek, który służył mym rodzicom, powiedział --
Nie, nie powiedział, lecz wykrzyknął: "Wróciłeś!
Minęło lat dwadzieścia -- przyszedł czas, by powrócić."
Rozmyślałam o przysiedze, na próżno złożonej w dzieciństwie,
Że doliny mych ojców nie wolno mi rzucić.

Drugie przyjście



Kołując coraz to szerszą spiralą,
Sokół przestaje słyszeć sokolnika;
Wszystko w rozpadzie, w odśrodkowym wirze;
Czysta anarchia szaleje nad światem,
Wzdyma się fala mętna od krwi, wszędzie wokół
Zatapiając obrzędy dawnej niewinności;
Najlepsi tracą wszelką wiarę, a w najgorszych
Kipi żarliwa i porywczą moc.

Tak, objawienie jakieś się przybliży;
Tak, Drugie Przyjście chyba się przybliży.
Drugie Przyjście! Zaledwie wyrzekłem te słowa,
Ogromny obraz rodem ze Spiritus Mundi
Wzrok mój poraża: gdzieś w piaskach pustyni
Kształt o lwim cielsku i człowieczej głowie
Z okiem jak słońce pustym, bezlitosnym,
Dźwiga powolne łapy, a wokoło krążą
Pustynnych ptaków rozdrażnione cienie.
Znow mrok zapada; lecz teraz już wiem,
Że dwadzieścia stuleci kamiennego snu
Rozkołysała w koszmar dziecinna kolebka --
I cóż za bestia, której czas wreszcie powraca,
Pełźnie w stronę Betlejem, by tam się narodzić?

Rozmyślanie w czasie wojny



W jednym krótkim tętnicy drgnieniu,
Gdym przysiadł na tym szarym kamieniu,
Pod drzewem, co od wiatru wyrosło krzywo,
Pojąłem, że Człowiek jest żywy,
A ludzkość bezdusznym zmyśleniem.

Leda i Łabędź



Spadł na nią nagłym ciosem: nad oszołomioną
Trzepot ogromnych skrzydeł, kark w twardym uchwycie
Dzioba, uda pieszczone łap czarniawą błoną,
Pod jego piersią -- serca jej spłoszone bicie.

Jakże mają jej palce paniczne i błędne
Odepchnąć od słabnących ud pierzastą chwałę?
Jak ciało, przygwożdżone obcym serca tętnem,
Umknąć ma przed naporem piersi śnieżnobiałej?

Dreszcz lędźwi w jednej chwili łono jej zapładnia
Zwalonym murem, dachem płonącym i wieżą,
Śmiercią Agamemnona.

Przebita tym dreszczem,
Pod dziką krwią powietrza uległa, bezwładna,
Czy razem z jego władzą przyjęła i wiedzę,
Zanim zobojętniały dziób puścił ją wreszcie?.

Śmierć



Trwóg i nadziei wyzbyta
Jest śmierć zwierzęcia w kniei;
Człowiek koniec swój wita
W trwodze, pełen nadziei;
On umarł wiele razy,
Raz w raz znowu powstaje.
Wielki człowiek bez skazy
Widzi morderców zgrają,
Drwina jest w jego dumie
I drwiąc żegna się z życiem;
On śmierć na pamięć umie --
Człowiek: śmierci stwórzyciel.

Coole Park, 1929



Rozmyślam dzisiaj o jaskółki locie,
O pewnej starszej damie i jej domu,
O jaworze i lipie w nocy zagubionych,
Choć ta zachodnia chmura poblaskiem migoce,
O wielkich dziełach wbrew naturze tam stworzonych
Dla badaczy, poetów, tych, co przyjdą po nas,
Myślach, w myśl jedną tak długo splatanych,
Tanecznej chwale, jaką zrodziły te ściany.

Tam Hyde, nim jeszcze przekuł w prozę.
Szlachetne ostrze przypięte przez Muzy,
I ten, co przybrał męża pozę,
Choć serce miał płochliwe, tam ów nieskory,
Myślom oddany John Synge, a z nim w parze
Porywczy ludzie, Shawe-Taylor i Hugh Lane,
Znaleźli dumę wspartą na pokorze,
Prześwietne towarzystwo i właściwą scenę.

Jak jaskółki przybyli, jak jaskółki pierzchli,
A duch jednej kobiety potrafił swą siłą
Wciąż umacniać jaskółkę w jej zamiarze pierwszym;
Inne jaskółki, co się w szyku wzbiły
I wirowały niby nad igłą kompasu,
Znalazły pewność w tym sennym powietrzu,
Słodycz rozumu pijąc z owych wierszy,
Które przebiły się przez głębie czasu.

Dziś stań tutaj, poeto, wędrowcze, badaczu,
Kiedy tych komnat i ścieżek już nie ma,
Las chwiejnych pokrzyw ich miejsce oznacza
I młode drzewka rosną wśród złomów kamienia,
I poświęć -- w ziemię kierując swe oczy,
Plecami odwrócony do jasności słońca
I zmysłowej rozkoszy, jaką cień cię nęci --
Jej skroni strojnej laurem minutę pamięci.

Wybór



Człowiek w rozumie swoim stoi na rozstaju
Między doskonałością w życiu lub działaniu;
Jeśli drugie wybiera, z góry rezygnuje
Z niebiańskiego mieszkania, szaleje w otchłani.

Cóż więc nam pozostaje, gdyśmy już u kresu?
W sukcesie lub porażce widać ślady męki.
Chyba stary dylemat -- pusta kiesa
Lub dnia próżność i nocne sumienia udręki.

I. Głupia Jane i Biskup



Prowadź, niech z północy dzwonem,
Gdzie dąb osmalony gromem,
(*W grobie wszyscy pokój mają.*)
Kłatwę ściagnę mu na głowę
Za to życie Jakubowe.
Krótką mu wypalił mowę:
Człek solidny a fanfaron.

Nawet nie proboszcza przykaz
Wygnał Kubę Czeladnika,
(*W grobie wszyscy pokój mają.*)
I nie biskupa, pamiętam.
Rzekł -- a w ręce księga święta --
Że żyjemy jak zwierzęta.
Człek solidny a fanfaron.

Biskup skórę ma, Bóg świadkiem,
Pomarszczoną jak gęś łapkę
(*W grobie wszyscy pokój mają.*)
I nie skrywa czerń ta Boża
Czaplego garbu, aż zgroza,
A mój Kuba był jak brzoza!
Człek solidny a fanfaron.

Kuba mi zabrał mój wianek,
Woła mnie pod dąb, kochanek,
(*W grobie wszyscy pokój mają.*)
Sam wychodzi w nockę ciemną,
W cieniu się spotyka ze mną.
Gdyby tamten przyszedł -- klę go!
Człek solidny a fanfaron.

II. Głupia Jane skarcona



Nie dbam, co mówią żeglarze,
Cała ta czarna ulewa
W grzmocie, w piorunowym żarze --
Toż to tylko niebo ziewa.
Zbłądziła się Europa,
Wolała byka od chłopa.
Fol de rol, fol de rol.

By wyścielić muszli zwoje,
Gdzie się tajny szlak wykrawa
Przez perłowej masy słoje --
Samo niebo trzeszczy w stawach.
Nie oddawaj serca temu
Chwalipięcie wędrownemu.
Fol de rol, fol de rol.

III. Głupia Jane w Dzień Sądu



"Miłość jest cała
Nienasycona,
Jeśli wszystkiego nie miała,
Ducha i ciała."
Tak rzekła Jane, rzekła ona.

"Gorycz wybierasz!
Mnie wybierając,
Mogę wykpić, sponiewierać,
Złajać i sterać.
Tak -- mówił on -- rzeczy się mają."

"Naga się położę,
Schowana w cień.
Trawa mym łóżem
W ten czarny dzień."
Tak powiedziała Jane.

"Cóż przynosimy?
Czym jest prawdziwa miłość?
Wszystko się poznać da i nie zaginie,
Niech tylko Czas przeminie.
Tak -- mówił on -- na pewno tak było."

IV. Głupia Jane i Kuba Wędrowny Czeladnik



Wiem, choć gdy oczy się spotkają,
Drzę aż do szpiku kości:
Im częściej drzwi nie będę zamykała,
Tym prędzej będzie po miłości.
Miłość to tylko przędza rozmotana
Od zmroku do pierwszej jasności.

Samotnym duchem jest ten duch,
Boże, co spocznie w Tobie.
Ja -- nić miłości na ziemi splątana
I moje ciało w grobie --
Skoczę na powrót w światło
Stracone w matki łonie.

I choćby mnie samotną los
Na puste łóżce rzucił,
Dwa nasze duchy nić ta wiąże tak,
Że dokąd on swe kroki zwróci
Przechodząc drogą w ową noc,
Tam mój duch musi wrócić.

V. Głupia Jane o Bogu



Ten jednej nocy kochanek
Wszedł, bo tędy wiodła droga,
Wyszedł, kiedy wstawał ranek.
Czy mam chęć, czy nie mam chęci,
Zawsze się tu jakiś kręci.
Wszystko w ręku Boga.

Niebo chorągwiami skryte.
Wojska tłum, aż bierze trwoga.
Koń rży i bije kopytem,
Wielka bitwa, wojsk bez liku
W tym wąskim przesmyku.
Wszystko w ręku Boga.

A dom od dzieciństwa znany
-- Sami się przekonać mogą --
Stary i nie zamieszkany,
W jednej chwili staje w skrach
Od piwnicy aż po dach.
Wszystko w ręku Boga.

Kochałam Kubę niecnotę.
Tak jak droga
Służy ludziom w skwar i słotę,
Moje ciało ani jęknie,
Śpiewa pięknie.
Wszystko w ręku Boga.

VI. Głupia Jane rozmawia z Biskupem



Spotkałam biskupa na drodze,
On swoje mi rzekł, ja jemu swoje.
"Płaska twoja pierś, zwiędła,
Wprędce żył wyschną zdroje,
W niebieskim dworcu ci zamieszkać,
Nie w jakimś chlewie, w gnoju."

"Plugawe pięknemu jest bratem,
Potrzebne mu! -- zawołałam. --
Zostałam sama, lecz tej prawdzie
Śmierć ni łożnica kłamu nie zadała,
Uczy jej duma serca
Jak i nikczemność ciała."

"Kobieta miłością przejęta
Nosi się godnie i wie, ile warta,
Lecz miłość wzniosła sobie dwór
Tam, gdzie kloaka otwarta.
Bo nic nie może być stałe i całe,
Co w przód nie było rozdarte."

VII. Postarzała Głupia Jane przygląda się tańczącym



Widziałam, jak ta postać białozłota
Ze swoim chłopcem w tańcu gna,
Lecz kiedy czarną kosę jej omotał,
Jakby ją zdławić chciał, nie śmiałam
Bodaj drgnąć, zdjęła mnie niemota,
Tak pod powieką źrenica pałała --
Bo miłość jest jak pazur lwa.

Od razu, choć niejeden gadał,
Że udawała, wiedziałam, to nie gra,
Gdy nóż dobyła, żeby śmierć mu zadać,
Mogłam go tylko losowi zostawić.
Niech sobie każdy, co chce, opowiada,
Nie masz to jak nasycić swą nienawiść --
Bo miłość jest jak pazur lwa.

On to zginął czy zginęła ona?
Zdało mi się czy zgasły życia dwa?
Mój Boże, wciąż jeszcze ja szalona
Dałabym wszystko w jednej chwili,
Bylebym nogi miała, by spróbować
Tańca, który ci dwoje tam tańczyli --
Bo miłość jest jak pazur lwa.

XVII. Po długim milczeniu



Mowa po długim milczeniu; bo skoro
Wszystkie inne kochanki odeszły lub zmarły,
Abażur zmiękcza ostry blask lampy, a czarny
Napór nocy pozostał za okienną storą,
Skoro tak -- trzeba, byśmy jako temat mieli
Sztukę i Pieśń, najwyższe z rzeczy tego świata:
Gdy ciało więdnie, wzrasta mądrość; w młodych latach
Kochaliśmy się wzajem i nic nie wiedzieli.

XVIII. Szalony jak mgła i śnieg



Zarygluj okiennice,
Wiatr dmie, jakby się wściekł:
Dumajmy obaj, niech nam mówi
Myśli podwójny bieg,
Że wszystko, co na zewnątrz nas,
Szaleje jak mgła i śnieg.

Na półce Homer i Horacy,
Platona złoty brzeg
I tom Tulliusza wpół otwarty.
Gdzie nasz chłopięcy wiek,
Gdyśmy obydwa, dzicy, młodzi,
Szaleli jak mgła i śnieg?

Pytasz mnie, czemu wzdycham, czemu
Cię mi na czoło legł?
Wzdycham, gdy myślę, przyjacielu,
Że wszystko, co Homer rzekł,
Nie przeczy temu, że i on był
Szalony jak mgła i śnieg.

I. Ojciec i córka



Słyszysz, jak w stół uderzam,
Mówiąc, że nie wyjdzie spod pręgierza,
Bo języki mężczyzn i kobiet
Jej imię kojarzą sobie
Z mężczyzną o złej sławie.
Odpowiada mi na to,
Że on ma piękne włosy,
A wzrok chłodny jak marcowy powiew wiatru.

II. Nim świat został stworzony



Jeżeli czernię sobie rzęsy
I szminką barwię usta,
Jeśli oczom przydaję blasku
I chodzę od lustra do lustra,
Sprawdzając, czy tak dobrze,
To nie jest próżność z mej strony:
Szukam twarzy, jaką miałam wówczas,
Nim świat został stworzony.

I cóż, jeśli patrzę na mężczyznę,
Jak gdybym go kochała,
Choć zachowuję zimną krew
I serce mam jak skała?
Czy pomyśli, że jestem okrutna
Lub że został zwiedziony?
Chcę, żeby kochał tę, którą byłem,
Nim świat został stworzony.

III. Pierwsza spowiedź



Przyznaję się, że wrzosa
Wplątane w moje włosy
Krzywdy mi nie zrobiły.
Moje drżenie i omdlewanie
Jedynie udawaniem
I kokieterią były.

Pragnę prawdy, lecz przyznam,
Że gdy jakiś mężczyzna
Ku mnie zwraca zaloty --
Choć moje lepsze ja gardzi
Tą słabością -- tym bardziej
Pragnę jego pieszczoty.

Widocznie żywiość taką
Przyniósł mi znak Zodiaku.
Po cóż więc tyle pytań
W oczach we mnie utkwionych?
Niech zwróć się w inne strony,
Gdy pusta noc je powita.

IV. Jej triumf



Nim przyszedłeś, wypełniałam wolę smoczą,
Wyobrażając sobie miłość dość dziwacznie,
Jako nagłą improwizację lub grę: chcesz ją rozpocząć,
Upuść tylko chusteczkę, a zaraz się zaczniesz.

Najlepsze było to wszystko, co mogło chwilę zmienić
Dowcipem w muzykę sfer, uskrzydlić ją w wyobraźni.
I nagle ty stanąłeś pośród smoczycich pierścieni.
Chociaż drwiłam, szalona, tyś tego smoka ujarzmił.

Jak pogański Perseusz albo święty Jerzy
Zerwałeś łańcuch, zdjąłeś z moich kostek ogniwa.
Zdumieni patrzymy na morze, które przed nami leży,
I nieznany, cudowny ptak krzykiem nas wzywa.

KOBIETA MŁODA I STARA



Wybiera się udział miłości. Tyle już zrozumiałam,
Usiłując znaleźć obraz na szlaku
Wirującego Zodiaku.
Ledwie dotknął mojego ciała,
Ledwie spłynął z Zachodu w podziemia,
Ażeby znaleźć wytchnienie
Na piersi mojej, gdzie śpią nocy cienie,
A już mi się objawił pod północną zorzą,
I zdawałam się wstawać, choć leżałam w łóżu.

Przerażona walczyłam z okropnością świtu.
Uczyniłam ten wybór! Jeśli zameężna dziewczyna
O najwyższą rozkosz mnie pyta
Doznaną z mężczyzną, wspominam
Ową ciszę, która burzę koi,
W której serce jego było moim,
I obydwaj niósł cudowny prąd strumienia,
Gdzie -- jak głosił uczony astrolog --
Zodiak się w kulę przemienia.

VIII. Jej widzenie w lesie



Pod listowiem bujnym suchy kawał drewna,
O północy barwy вина w świętym borze,
Już za stara na miłość, stałam gniewna
O mężczyznach myśląc. W swym uporze
Chcąc mniejszym bólem wielką mą boleść zażegnać,
Sprawdzić, czy wyschła żyła jeszcze krwawić może,
Rozdrapałam swe ciało, by krwią barwy вина
Zakryć to, co kochanka wargi wciąż wspomina.

A potem palce uniosłam do góry;
W paznokcie barwy вина i w czerń, która ciekła
Wzdłuż wyschłych palców, wbiłam wzrok ponury.
Wtem pochodnie zmieniły tę czerń w czerwień piekła,
Liśćmi ogłuszające potrząsnęły chóry:
Drużyna niosła na noszach człowieka
I uderzając w struny, szarpiąc je na zmianę,
Śpiewała o zwierzęciu, co zadało ranę.

W rytm pieśni szły kobiety kołysząc się godnie,
Włos rozpuszczony i twarz bólem ścięta,
Wyglądały, jak ciżba z płótna quattrocenta
-- Myśl Mantegny bez myśli idąca swobodnie --
Wiecznie młode, czyż muszą myśleć lub pamiętać?
Aż raptem zarażona rozpaczą, wstrząśnięta,
Patrząc na pierś mężczyzny całą krwią zbryzganą
Złorzeczyć pieśnią zaczęłam tak samo.

Ten stwór w krwi, w błocie, rozdarty przez zwierza,
Uniół się, utkwił we mnie swoje szkliste oczy,
Aż gorzko-słodką miłość powróciła świeża.
Lecz orszak z malowidła tak jak dotąd kroczył,
Nie dostrzegł, że krzyknęłam, że runęłam, leżę!
Nie wiedział -- śpiew jak wino ich wszystkich zamroczył --
Że nie symbol z legendy spoczywa na marach,
Lecz kat mojego serca i ofiara.

XI. Z 'Antygony'



Pokonaj, gorzka słodczy,
Mieszkanko dziewczęcych lic,
Bogacza i jego sprawy.
Syte stada i żyzne pola,
Marynarzy, żniwiarzy prostych,
Pokonaj bogi Parnasu.

Pokonaj ich siedzibę. Porusz
Z miejsca niebo i ziemię,
Skoro w jednakiej niedoli
Brat z bratem, z rodziną rodzina,
Przyjaciół z przyjacielem,
Miasto z miastem walczyć zaczyna
W opętanym żądzą sławy świecie.

Chcę się modlić, lecz tłumiąc szloch
Śpiewać muszę - Edypa dziecię
Schodzi w nieczuły proch.

Modlitwa na intencję starości



Ustrzeż mnie, Boże, od tych myśli,
Co tylko w mózgu goszczą;
Kto śpiewa pieśń naprawdę trwałą,

Ten myśli szpikiem i kością.
To jedno w mądrych starcach jest
Coś warte; czemużbym zatem,
Jeśli wymaga tego pieśń,
Nie miał się wydać wariatem?

Modłę się więc - bo dość mam słów
Modnych i wolę znów modły -
Bym się na starość wydawać mógł
Namiętny i niemądry.

IX Cztery wieki człowieka



Z ciałem toczył walkę, na koniec
Zwyciężyło: utrzymuje się w pionie.

Potem z sercem zaczął toczyć boje:
Koniec z niewinnością i spokojem.

Wtedy zaczął walczyć z rozumem:
Poniechał serca dumę.

Teraz wojnę z Bogiem rozpoczyna:
Wygra Bóg, gdy wybije godzina.

Poletko trawy



Co pozostaje: obraz, książka,
Poletko trawy, by pomału
Móc spacerować i oddychać -
Teraz, gdy sił ubywa ciału -
I stary dom, gdzie w nocnej ciszy
Nic się nie rusza oprócz myszy.

Moje pokusy są stateczne.
Gdy życie kresu już dobiega,
Ani bezładna wyobraźnia,
Ani młyn mózgu mielącego
Odpadki, strzępy szmat i kości,
Żadnej mi prawdy nie ogłosi.

Niech spłynie na mnie starczy szal,
Muszę się wyrzec swej natury
I stać się Lirem i Tymonem,
Albo Williamem Blakiem, który
Tak długo walił pięścią w ścianę,
Aż Prawda przyszła na wezwanie;

Mieć umysł - miał go Michał Anioł -
Który potrafi przez obłoki
Przenikać lub, natchniony szaleń,
Zakłóca zmarłych sen głęboki;
Umysł, którego nie zapomni
Ród ludzki: starca umysł orli

Co z tego?



Że będzie sławny, o tym wiedzano już w szkole:
Dla współluczników był więcej niż zwykłym kolegą;
Więc cel sobie wytyczył i wytężył wolę,
Młodzieńcze lata spędził w znoju i mozole;
"Co z tego? - duch Platona zaśpiewał. - Co z tego?"

Książki, które napisał, znikwały spod lady,
Po iluś latach zdobył bez trudu większego
Dość pieniędzy, by co dzień móc jadać obiady,
I przyjaciół w potrzebie nie skąpiących rady;
"Co z tego? - duch Platona zaśpiewał. - Co z tego?"

Spełnił mu się nareszcie każdy sen szczęśliwy -
Miał żonę, córkę, syna, dom i ptaków świergot
W ogródku, gdzie mógł sadzić kapustę i śliwy,
Wokół siebie - poetów orszak hałaśliwy;
"Co z tego? - duch Platona zaśpiewał. - Co z tego?"

"Spełniłem swe zadanie - pomyślał na starość. -
Zgodnie z dziecinnym planem całe życie zbiegło;
Choć głupcy się wściekali, wykazałem stałość
I w czymś tam osiągnąłem przecież doskonałość";
Ale duch jeszcze głośniejsze zaśpiewał: "Co z tego?"

Czemuż to starzec nie ma być szalony



Czemuż to starzec nie ma być szalony?
Bywa, że i młodzieniec, co z najlepszej strony
Znany był i ze zdrowych wędkarskich wyczynów,
Dziś jest zapitym dziennikarzyną.
Dziewczę, które o Dantem rozprawiało górnio,
Dziś rodzi dzieci, żyjąc z jakimś durniem.
Jakaś Helena ze snu o reformie
Krzyczy "Dobro społeczne" stając na platformie.
Niektórzy za rzecz zwykłą mają, iż los głodem
Morzy dobrych, złym ludziom przyznając nagrodę,
Że - gdyby ci ukazać niby na ekranie
Sąsiadów - to nie znajdziesz na pewno (ich zdaniem)
Ani jednego, co byłby szczęśliwy,
Nie musiał zrezygnować z osiągnięć możliwych,
Którego finisz byłby godny startu.
Dla młodych takie sprawy są zakrytą kartą,
Uważny starzec już wszystkie je zgłębił.
Kto poznał dobrze mądre, stare księgi,
Wie, że na lepsze nic nie można zmienić.
Oto, dlaczego starcy muszą być szaleni.